

Od autora

Człowiek nigdy nie wie, co uczyni jego życie kompletnym. Czasami może to być po prostu bezpański pies.

Pewnego dnia w naszym domu pojawił się szczeniak, przypominający owłosiony konar. Kudłaty, arogancko pewny siebie, tym błogosławionym przekonaniem, które posiadają niektóre jednostki ludzkie — JESTEM NAJWIĘKSZYM DAREM DLA ŚWIATA.

Od tej pory i świat, i dom stanęły na głowie. Mały Gareth, z pełnoobjawowym ADHD, lękiem separacyjnym i nieprawdopodobną pomysłowością, konsekwentnie obracał nasz dom i zdrowie psychiczne w ruinę. Był tak absorbujący, że niepostrzeżenie zmieniał strukturę rodziny, burząc wieloletnie nawyki oraz wydobywając z nas i najgorsze, i najlepsze cechy. Jego dzieciństwo opisałam w książce Gareth, fe!. Drugi tom jest kontynuacją przygód Gareta. Szczeniak ma już osiem miesięcy i rośnie, co nie znaczy, że dojrzewa. Za to w naszym życiu stopniowo następują przemiany.

Nie polecam opowieści o Garecie ludziom lubiącym zwierzęta w sposób zdroworozsądkowy; wręcz odradzam czytanie. Ten specyficzny pamiętnik dedy-

kuję tym, którzy kochają zwierzaki całym sercem, jak pełnoprawnych partnerów — czujących, myślących. Wyjątkowych już choćby dlatego, że nigdy nie zdradzą, nie kryją się za maskami, a swoje uczucia wyrażają w sposób otwarty i jednoznaczny.

Książkę dedykuję mojej wspaniałej rodzinie — mamie Irenie, córce Kai, bratu Markowi oraz cudownej kobiecie, miłośniczce zwierząt, a zwłaszcza psów i koni — Grażynie Strumiłowskiej. Nie mogę zapomnieć także o zwierzętach — Garecie, kotach i niedawno adoptowanym godnym następcy Gareta — Dinie.

27.10.2006, piątek

Ciekawe, czy są ludzie, którzy pamiętają, co działo się przed tygodniem. Jeśli, naturalnie, nie był to kataklizm albo pożar, w którym spłonął ich dom. Ja nie pamiętam, co działo się dnia poprzedniego. Dlatego robię hasłowe notatki, które potem uruchamiają mi pamięć. Niestety, te notatki muszę potem przeczytać.

— Cholera!

— Co znowu zepsułaś? — zainteresowała się moja córka.

— Nic nie zepsułam. Chodź tu, pomóż mi to odczytać. To chyba było coś ważnego, bo widzę, że nawet potem poprawiałam, żeby było wyraźniej...

— Wyraźniej? — zapytała z przekąsem Kaja, wpatrując się w notatnik. — Które masz na myśli?

— Te trzy pierwsze.

— Aha. Uuubłeee? Ublony? Co, jednak nie? Czekać, teraz będzie najtrudniejsze. Odrooooo... Nie używasz dużych liter?

— Mogłam użyć — warknęłam.

— Hm... to drugie to może być „d”. Tak, raczej „d” niż „b”. Chociaż... jeśli się wpatrzyć uważniej...

— Dawaj to. Za bardzo się wczuwasz.

— No cóż, po prostu to zeskanuj. Może ktoś odczyta...

We wtorek Irena, po moich namowach, wybrała się do okulisty. Według mnie to, co zrobiło jej się w oku, to nie zapalenie spojówek. Chyba coś na rogówce.

Wróciła wściekła i wyczerpana. Mogła próbować jeszcze raz, około południa, ale kolejnej wyprawie nie sprostaby kondycyjnie. Jeśli nie, to następnego dnia przed siódmą do rejestracji, a później jeszcze raz do lekarza.

Jeden okulista na pięćdziesięciotysięczny rejon to rzeczywiście nie jest dużo. Można ostatecznie iść prywatnie, ale kiedy człowiek pomyśli, ile co miesiąc potracą na NFZ, to wolałby to wykorzystać.

Z westchnieniem nastawiłam sobie budzik na szóstą. Oczywiście, moja matka padnie, a nie poprosi, bo nie ma tego zwyczaju. Ale nie daj Boże, gdybym się sama nie domyśliła. Wypomni mi to w długiej, kwiecistej przemowie za dwadzieścia lat. Mogłaby dawać lekcje prokuratorom oskarżającym o najcięższego kalibru zbrodnie. A gdyby ją postawić na sali sądowej, oskarżonego o kradzież pudełka zapalek, i to w procesie poszlakowym, posłałaby za kratki na dożywocie.

Po południu pojechałam do Krakowa, na grupę rozwoju osobistego, a gdy wróciłam późnym wieczorem, od furtki trasę wyznaczały moje ubrania. Spodnie od dresu, podkoszulek, polar, sweter i stanik od stroju kąpielowego. Gareth powitał mnie z nocną koszulą w zębach. Musieli wcześniej być na spacerze w ogrodzie, bo z trudem ją rozpoznałam. W każdym razie nie po kolorze.

Od razu wiedziałam, że ze snem będzie ciężko. Gareth, wciąż cierpiący na chorobę sierocą po poniedział-

kowym wyjeździe Kai, biegał po całym domu świszcząc, stękając i z dzikim uporem otwierając wszystkie drzwi. Nawet w najbardziej ospałym nastroju jest trudny do zniesienia, a wyprowadzony z równowagi może doprowadzić do szału cały oddział chorych na katatonię.

Około północy pozamykałam wszystkie drzwi na klucz, więc z konieczności ograniczył się do skakania na klamki, co było równie irytujące, ale przynajmniej zlikwidowało większość przeciągów w domu. Jedynymi spokojnymi elementami były koty, śpiące głęboko w najcieplejszych i najwygodniejszych miejscach. Czuwał tylko Koleś. Siedział na umywalce i wpatrywał się posępnym wzorkiem w leżący w niej kawałek wapienia z amonitem, który czekał od poniedziałkowego spaceru na wyszorowanie.

— Mi, mi, mi! — zawołał na mój widok, gruchnął na podłogę i kolebiącym się truchtem podążył do misek, dając do zrozumienia, że babcia postanowiła go zagłodzić. Prawdopodobnie ostatni posiłek skończył dobre pół godziny wcześniej i potężne ssanie w żołądku nie pozwalało mu zasnąć, a z amonitem nie zdołał nawiązać kontaktu mentalnego.

Gdy nakarmiłam już wszystkie obecne w domu koty i Gareta, za drzwiami wejściowymi włączyła sygnał alarmowy Perła, więc wpuściłam ją i cały proces rozpoczął się od nowa. Kiedy szłam spać, Perła jeszcze z charkotem mordowała, wywleczony z Garetowego talerza, kawał mięsa wielkości swojej głowy. Wyciągnęłam spod Kolesia, Gaci i Marchwi kawałek kołdry i mniej więcej udało mi się okryć. Garet jeszcze przez

chwilę tupał po domu, potem przyniósł sobie z kuchni gumową kość i zaczął grać. Wylazłam z łóżka, odebrałam mu instrument i kazałam iść spać. W odwecie zabrał mi pantofel i tłukł nim zapamiętałe o podłogę.

O trzeciej obudził mnie łoskot. To nasz piesek otwierał drzwi do piwnicy. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy zamknęłam je na klucz... nie zamknęłam. Przez jakiś czas kotłował się w ogródku, możliwe, że gonił koty. Potem z piwnicy, z worka z plastykiem, przyniósł pięciolitrową butlę po wodzie, obecnie zredukowaną do kształtu zdeformowanego naleśnika, ale robiącą wciąż wystarczająco dużo hałasu. Wśród kotów zapanowało krótkotrwałe poruszenie, ale szybko zorientowały się, że to tylko nasz obłąkany pies i zasnęły, wzdychając. Wstałam, odebrałam mu butelkę, nawarczałam i położyłam się z powrotem. Gareth, pozbawiony zabawki, wskoczył na mnie zabłoconymi, zimnymi łapami i z głuchym jękiem uwalnił się na mojej klatce piersiowej. Teraz ja wydałam jęk, dla odmiany bolesny, i z trudem wywalczyłam sobie trochę miejsca między zwierzętami.

Otworzyłam oczy przed szóstą i spojrzałam wprost na Gareta, który wisiał nade mną zmarszczony w głębokim namysle. Zerwałam się w panice, zanim ten namysł czymś zaowocował. I tak musiałam wstać...

W kolejce do rejestracji stałam godzinę. Na szczęście tego dnia rejestrowano więcej niż piętnaście osób i babcia się załapała. W drodze powrotnej zrobiłam zakupy i było mi naprawdę ciężko. Z Garetem przeźornie przywitałam się najpierw przez pręty furtki. Jeśli miałam nadzieję, że osłabi to jego zapach — my-

liłam się. Skupiona na tym, żeby szybko wcisnąć się przez szparę i natychmiast zamknąć furtkę na klucz, miałam niewielkie możliwości obrony. Gareth w rozpedzie zahaczył mnie w palec pazurem, z bólu wypuściłam pięciolitrową butlę z wodą, na której natychmiast zakleszczył paszczę. Klnąc z furją, stałam w kałuży wody mineralnej, tuląc do piersi dwa woreczki mleka i opędzając się przed zbzikowanym kundlem zranioną ręką.

W progu potknęłam się o swoje spodnie od dresu zasupłane z ręcznikiem, dalej leżał stanik od bikini w takim stanie, że musiał zostać pochowany, a następnie ekshumowany co najmniej trzy razy. W kuchni na podłodze poniewierało się dziwnie płaskie pudełko z herbatą miętową, którą kupiłam poprzedniego dnia, a na stole, z wygryzioną okładką, moja ulubiona książka. Czytałam ją właśnie po raz n-ty i pierwotnie znajdowała się na półce nad łóżkiem. Skretyniały szkodnik uwalił się na plecach w fotelu przy stole i łypał radośnie, uśmiechnięty od jednego kłapciatego ucha do drugiego. Wykazałam mnóstwo hartu ducha i nie zadusiłam go.

W południe zjawił się nasz młody sąsiad, Paweł, z którym byłam umówiona pół roku temu. Miał naprawić wypadające drzwiczki od pieca c.o. oraz umocnić zamek przy furtce, a raczej to coś, do czego wchodzi języczek zamka, a co jest przymocowane do ściany. U nas zostało przymocowane do samego ocieplenia, toteż drżałam na myśl, że pewnego razu nie wytrzyma naporu tęsknoty opuszczonego Gareta i osamotniony kundel wraz ze swoją depriwacją emocjonalną zginą

marnie pod pierwszym przejeżdżającym samochodem.

Od tej chwili zaczął się sądny dzień. Paweł musiał podjechać ze sprzętem pod drzwi piwnicy, wskutek czego brama została otwarta, jednocześnie wymontował to coś ze ściany i z drugiej strony domu była niedomknięta furtka. Paweł co jakiś czas musiał się ze mną skontaktować, ja zaś musiałam zapanować nad szalejącym w domu niepoczytalnym psem, który kompletnie nie mógł zrozumieć, dlaczego nie wolno mu okazywać gorących uczuć nowemu wujkowi. Pies-pomylenieć usiłował wydostać się na zewnątrz przez piwnicę, przez drzwi wejściowe, przez drzwi balkonowe i przez okno. Dwukrotnie złapałam go tuż przy ulicy, byłam wściekła, rozdygotana i momentami robiło mi się słabo. Wreszcie zamknęłam świra w kuchni i poszłam do piwnicy szukać odpowiednio dużej nakrętki. W sekundę później pojawił się tam Gareth. Wciąż jeszcze osłupiała, złapałam go za kark i zapędziłam do domu. Tu okazało się, że drzwi do kuchni nadal są zamknięte na klucz, a te od pokoju otwarte. Była tylko jedna możliwość — dokonał cudu i przełazł przez wysoką, długą i szeroką komodę. Jeden rzut oka na pokój uświadomił mi, że komody jednak nie pokonał, za to, wlaższy na łóżko, przecisnął się przez wąską szparę pomiędzy komodą a dużym, stojącym lustrem, odsunawszy uprzednio masywny stolik z telewizorem. Telewizor balansował na krawędzi stolika, a wazonik z różą ozdabiał podłogę. Zasłoniłam deską nieszczęsną szparę i tym razem zamknęłam potwora w pokoju. Zanim dotarłam do Pawła, pies już tam był

i wcisnąwszy mu się w objęcia, lizał go po twarzy. Zawylałam z wściekłości i zapędziłam go do domu. Pokonał deskę i odsunąwszy telewizor, przedostał się tym razem przez kuchnię. Po drodze zdążył wstąpić do pokoju babci i wywlec jej rajstopy. Doniczka z zakupionym kilka dni temu bardzo oryginalnym kwiatkiem turlała się po podłodze. Obok, zasypyany ziemią, ale cały, leżał pojemnik w kształcie gruszki, z masy perłowej i mosiądzu, w którym przechowujemy pazury zgubione przez Funiaczka. No dobra, wiem, nie jest to w pełni normalne, ale w obliczu tego, co robi Garet...

Kiedy wyszłam zamknąć bramę wjazdową za samochodem Pawła, pies zbliżał się właśnie do krawężnika, kompletnie lekceważąc pędzącą ulicą samochody. Ależ ucieszył się na mój widok! Roztrzęsiona i wyczerpana do ostateczności, zabarykadowałam dom od środka. Furtka nadal nie funkcjonowała, bo Paweł nie zdążył i miał skończyć pracę następnego dnia.

W czwartek przytomnie założyłam Garetowi koltatkę i smycz, zanim przyszedł Paweł. Teraz pies spokojnie mógł witać się z nim co piętnaście minut od nowa. Czochrając roześmiany pysk, Paweł powiedział, że początkowo miał wrażenie, że widzi swojego dawnego psa albo jego potomka. Mieli ponoć identycznego. Też z Krakowa. Zachowywał się tak samo. Nadpobudliwy, groźnie pomysłowy, niereformowalny, pełen miłości do całego świata i wszystkich ludzi. Notorycznie uciekał, trzy razy potracił go samochód, szkód w domu narobił na kilka tysięcy i po kolejnej ojciec Pawła oddał go komuś na wieś. Jest to dowód na to, że Garetowa rasa istnieje i ma tak genetycznie.

Po południu furtka działała, a ja cieszyłam się myślą, że nie trzeba wymieniać pieca, wystarczy zamontować pompę wspomagającą obieg wody. Tak przynajmniej stwierdził Paweł, czyli fachowiec, po oględzinach naszej instalacji c.o., kiedy już oczy mu wróciły do właściwych rozmiarów. Zaofiarował się, że zrobi to od ręki, poza terminami. Piec wymieniałby dopiero wtedy, kiedy zacznie przeciekać, bo szkoda kosztów. A zbiornik kontrolny czy też wyrównawczy, który jakiś geniusz замуrował w ścianie łazienki na piętrze, też na razie by zostawił. Jeśli do tej pory jakimś cudem nie pękł, to może jeszcze wytrzyma. Moja radość trwała, dopóki do kuchni nie przyczłapała moja mama.

— On nie ma racji, ta pompa jest u nas niepotrzebna — zaczęła konwersacyjnym tonem.

— Co ty mówisz? Wreszcie wszystkie kaloryfery będą ciepłe! W domu przestanie być tak śmiertelnie zimno, palenie będzie bardziej efektywne!

— U nas i tak ten piec grzeje jak szalony. Zaraz woda gotuje się w kaloryferach. Potrzebujemy czegoś, co spowolniłoby grzanie — oznajmiła z niezachwianą pewnością siebie.

— Ale przecież nie chodzi o to, żeby piec ogrzewał sam siebie! W domu jest dwanaście stopni, kaloryfery w kuchni i na piętrze w tym pionie nie grzeją, tak samo w łazience, a reszta, z wyjątkiem tego w twoim pokoju, jest ciepła tylko górą! Nic dziwnego, że woda się gotuje, jeśli ma do dyspozycji tylko dwa grzejniki!

— Ja lepiej wiem, jak nasz piec się zachowuje. Nie ma potrzeby wpędzać się w koszty przez jakąś pompę.

— Ale przecież oszczędzasz cztery tysiące!

— On się nie zna. Jakby się udało jakoś spowolnić...

— Dobrze. Koniec tematu.

— Z tobą w ogóle nie można porozmawiać! Zaraz się wściekasz! — zirytowała się.

— Powiedziałam — dość na ten temat. Przekonałaś mnie. Mamy wspaniałą instalację, wszystko działa ze stuprocentową wydajnością. W zimie będziemy otwierać okna, żeby się nie usmażyć — dygocząc ze złości, pobiegłam do ogródka. Byłam zbyt wściekła, żeby wytrzymać na ławce. Wytypowałam suche drzewka do wykopania i mój wzrok padł na Gareta bawiącego się obok grządki truskawek. Wykopał już spory grobowiec i właśnie usiłował w nim pochować wełnianą poduszkę.

Wieczorem zniosłam z góry Wielką Szarą Kocicę, przez pół drogi przyczepioną do świeżo wypranego dywanika z łazienki, na którym spała. Gdy wypuściła dywanik z pazurów, wyrzuciłam ją do piwnicy. Dałam czwartą kolację kotom i pierwszą Garetowi, odczepiłam Kolesia od garnka z mlekiem, odebrałam Garetowi rajstopy babci i ukradkiem podrzuciłam jej do pokoju, rozbiłam trzy szklanki, pozmiatałam szkło i poszłam spać. Tym razem Garyś ułożył się bez protestów na swoim fotelu i ledwie zasnął, zaczął chrapać tak donośnie, że oblegające mnie koty co chwilę podnosiły głowy. Pół nocy przecmokałam i przegwizdałam. Bez skutku. Gareth poprawiał się z udręczonym stękanie i zaczynał z nową siłą. Uspokoił się dopiero nad ranem, kiedy wepchnął się na piątego do mojego łóżka.